

Solidarność i miłosierdzie w polskiej historii – Dariusz Karłowicz w PR24

– Ideowy bagaż „Solidarności” wydawał się wielu czymś zawstydzającym. (...) Rzeczony bagaż uważano za nieprzystający do nowoczesności, jaką sobie wyobrażano. Był on jakiś taki kłopotliwie katolicki, religiancki i wspólnotowy – przypominał początki polskiej transformacji Dariusz Karłowicz w audycji „Życie z duszą czy bez” na antenie Polskiego Radia 24. Gość Filipa Memchesa przedstawiał wiodące idee najnowszego, dziesiątego wydania rocznika „Teologia Polityczna”.

Filip Memches (Polskie Radio 24): „Solidarność i miłosierdzie” to temat najnowszego, dziesiątego, a więc jubileuszowego, wydania rocznika Teologia Polityczna. Solidarność i miłosierdzie to dwa słowa, które być może dzisiaj dla niejednego Polaka trącą naiwnością, może patosem... Ale czy słusznie? O tym porozmawiam z Dariuszem Karłowiczem, filozofem, eseistą, redaktorem Teologii Politycznej. Dzień dobry.

Dariusz Karłowicz (Teologia Polityczna): Dzień dobry.

Czy ten temat: „Solidarność i miłosierdzie”, wziął się z konstatacji że, mimo iż w polskim życiu publicznym są one odnawiane przez wszystkie przypadki, mamy do czynienia z deficytem realnego

wcielania tych pojęć?

Z pewnością. Ten deficyt ma rozmaite wymiary. Po części wynika on z ludzkiej niedoskonałości, z niedoskonałości ludzkich tworów społecznych. Można to nazwać, jak teologowie, skutkiem grzechu pierworodnego. Ludzka natura konstytuuje się w formach społecznych, w które wpisana jest niejako niedoskonałość. To pierwszy wymiar. Drugi z kolei łączy się z sytuacją współczesnej kultury. Myślę, że indywidualizm, który jest dzieckiem liberalizmu, jego pozytywnym bohaterem, skutkować musi kryzysem tych pojęć. W kręgu filozofów od lat debatuje się, czy indywidualizm w formie zalecanej przez tradycję liberalną, można połączyć z jakimiś formami solidaryzmu i miłosierdzia wobec bliźnich. To jest zawsze bardzo kłopotliwe i wiąże się z reguły z jakimiś formami ucieczki w struktury państwowe, pomoc społeczną i różne tego typu zjawiska. Ale one w żadnym stopniu solidarności i miłosierdzia nie zastępują. Ten kontekst kulturowo-ideowy jest drugą przyczyną kłopotu z tymi pojęciami. Trzeci natomiast jest osobliwie polski, bardzo złożony, poskręcany i posplatany jak żmuda. Niemniej kilka wątków można tu wyróżnić: pierwszy z nich łączy się z przyjętym modelem polskiej transformacji, która za sprawą prostodusznych wielbicieli neoliberalizmu przyjęła postać transformacji niesolidarnej. Mówię to z całym przekonaniem. Była to transformacja, która solidarność społeczną uważała za balast, którego należy się pozbyć, ponieważ wedle tej naiwnej recepty tylko realizacja indywidualnych egoizmów mogła pomóc w ukonstytuowaniu harmonii wedle nowego klucza.

Takie głosy dało się słyszeć także ze strony Kościoła...

Dało się je, niestety, słyszeć z bardzo wielu stron. Naturalnie, przede wszystkim z ust polityków, którzy forsowali każdą formę czegoś, co oczywiście nigdy nie było żadnym leseferyzmem, bo było bardzo precyzyjnie podzielonym układem wpływów i rozmaitych koncesji między postkomuną a elitami postsolidarnościowymi, ale było prezentowane jako rodzaj radykalnie indywidualistycznego wolnego rynku i wyzwolonej z karbu komunistycznej opresji polityki. Uważano, że temu zagrażać może nadmierna solidarność.

Te przekonania brały się co najmniej z dwóch źródeł. Po pierwsze z zachodniej kserokopiarki i od drużyny Mariotta, czyli rozmaitych, nie zawsze wybitnych, ekspertów, którzy przyjeżdżali tu, żeby nas uczyć, jak ma wyglądać normalność. Drugą przyczyną lęku przed solidarnością było przekonanie, że wspólnotowy balast w Polsce jest zbyt duży. To zupełnie rzecz paradoksalna, bo myśmy wychodzili z PRL-u jako kraj spustoszony społecznie, a tymczasem znaczna część, a może większość architektów III RP, uważała, że jest wręcz odwrotnie: że właśnie ten balast solidarnościowy jest zbyt duży. Oczywiście było tak dlatego, że oni brali go za to, co się łączyło z tą narodową grozą, z jakimś narodowym kolektywizmem. Zakładano, że *homo sovieticus* to jest ktoś, kto jest głęboko powiązany z jakimiś nienaturalnymi, najgroźniejszymi „izmami”: od faszystwu po antysemityzm, które się właśnie konstytuują w ramach tej wspólnoty narodowej i kulturowej. I właśnie jej rozluźnianie miało pomóc, bo ten straszliwy gorset mógł eksplodować jakimś paroksyzmem urzeczywistnionych, najczarniejszych snów o Polsce tych środowisk, które Polskę transformowały. A po wtóre: one miały stanowić główną przeszkodę w osiągnięciu tej formy nowoczesności, którą wyobrażano sobie właśnie w postaci dość naiwnego indywidualizmu. I ten swoisty „chór” indywiduów niepowiązanych żadnymi zobowiązaniami innymi od

pragnienia wzbogacenia się miał się ukonstytuować w jakiś doskonały chór, grający harmonijny koncert, w którym miejsce znajdą nawet ci o głosach najsłabszych, najbrzydszych. Absurd.

Polityczne tego skutki bywały bardzo spektakularne. Uważano, w co dziś trudno uwierzyć, że ruch związkowy może być przeszkodą. Mówiono o wolnym rynku, w którym „Solidarność” jako związek miała być kłopotem. Kolejny problem był następujący: ideowy bagaż „Solidarności” wydawał się wielu czymś zawstydzającym. Myślenie o „Solidarności” skutkowało nieuchronnie rodzeniem się nie najlepszych myśli na temat tych, którzy ją niszczyli, a więc o komunistach, mających zostać przyjętymi do wspólnoty po pospiesznym oczyszczeniu z odpowiedzialności za koszmar zgotowany polskiej ekonomii i kulturze. Poza tym rzeczony bagaż uważano za nieprzystający do nowoczesności, jaką sobie wyobrażano. Był on jakiś taki kłopotliwie katolicki, religiancki i wspólnotowy właśnie. Przecież nawet bardzo wybitni przedstawiciele tego, tak ważnego historii Europy, ruchu przeproszali za „Solidarność”. Przeproszali za rzecz tak „żenującą” i kłopotliwą, w której, co gorsza, brali udział. W modzie było nawet pozbywanie się legitymacji związkowej. Lata dziewięćdziesiąte były rzeczywiście nacechowane niezwykłym, chętnie podkreślanym dystansem. Nasze środowisko, wtedy jeszcze nie występujące pod szyldem Teologii Politycznej, zorganizowało w 2000 roku w Polskiej Akademii Nauk konferencję poświęconą solidarności. Pamiętam zdumione twarze profesorów starszego od nas pokolenia, którzy przyszli na konferencję z wypisanym na twarzy pytaniem: „po co się tym zajmować? Co w tym może być ciekawego?”. Trudno uwierzyć, a to był zaledwie 2000 rok, a więc nie tak dawno.

W naszej rozmowie trzymamy się wciąż kontekstu politycznego. Tymczasem ostatni numer „Teologii Politycznej” traktuje solidarność i miłosierdzie znacznie szerzej. Miłosierdzie, jako kategoria znacznie bardziej religijna, duchowa, odnosząca się do bardzo bezpośrednich relacji międzyludzkich, wiąże się ze zbawieniem człowieka. Tymczasem dziś miłosierdzie bywa również interpretowane politycznie. Odnoszę czasem wrażenie, że jest sprowadzane do czegoś sentymentalnego, czegoś co można określić mianem litości, co być może też wymaga odkłamywania.

To ciekawa myśl. Tak, miłosierdzie obrane z religijnego kontekstu należy do repertuaru kategorii słów, które w wersji ironicznej mają dowodzić sentymentalnej słabości. Ewentualnie, przeciwstawione sprawiedliwości ma stanowić rodzaj eksplikacji znajdujących w tradycji bądź religii racji do podważania porządku politycznego, który jest na sprawiedliwości oparty. Wszyscy to pamiętamy – bo w latach 90., do których wciąż przychodzi nam wracać, miłosierdzie było głównym argumentem uzasadniającym brak lustracji i ideologię „grubej kreski”. Miłosierdzie miało wówczas kilka politycznych zadań: po pierwsze miało być dowodem, że brak lustracji jest bardziej chrześcijański od lustracji, co – w ramach agonu kto jest bardziej katolicki – robiła wówczas strona dominująca, dowodząc, że to jest właśnie ten jedyny chrześcijański sposób traktowania postkomuny.

Ale to nie wszystko: miała też ukazywać pewne ograniczenia w ogóle porządku politycznego, pewnej zobiektywizowanej sprawiedliwości, na rzecz takiej koncepcji sprawiedliwości, która miała być zależna od dyspozycji osób wpływowych. Kiedy uchyla się sprawiedliwość na rzecz miłosierdzia, to wtedy potrzebni są ci, którzy będą decydować, kiedy

można ją uchylić, a kiedy nie trzeba. To wytwarza taką polityczną kastę kapłańską. Rzecz dobrze znana z historii – zmarły niedawno jeden z najwybitniejszych znawców starożytnego chrześcijaństwa opisywał problem z męczennikami którzy nie zginęli, którzy budzili popłoch w hierarchii starożytnego Kościoła, bo przypisywali sobie prawo do wybaczenia win. Bardzo ciekawe, że ten paradygmat znany nam z lektury Św. Cypriana, powraca w III RP już w wersji politycznej. Nagle pojawiają się ludzie, którzy ze względu na swoje szczególne dokonania prezentują się albo są prezentowani jako ci, którzy mogą powiedzieć kto jest porządny, a kto nie.

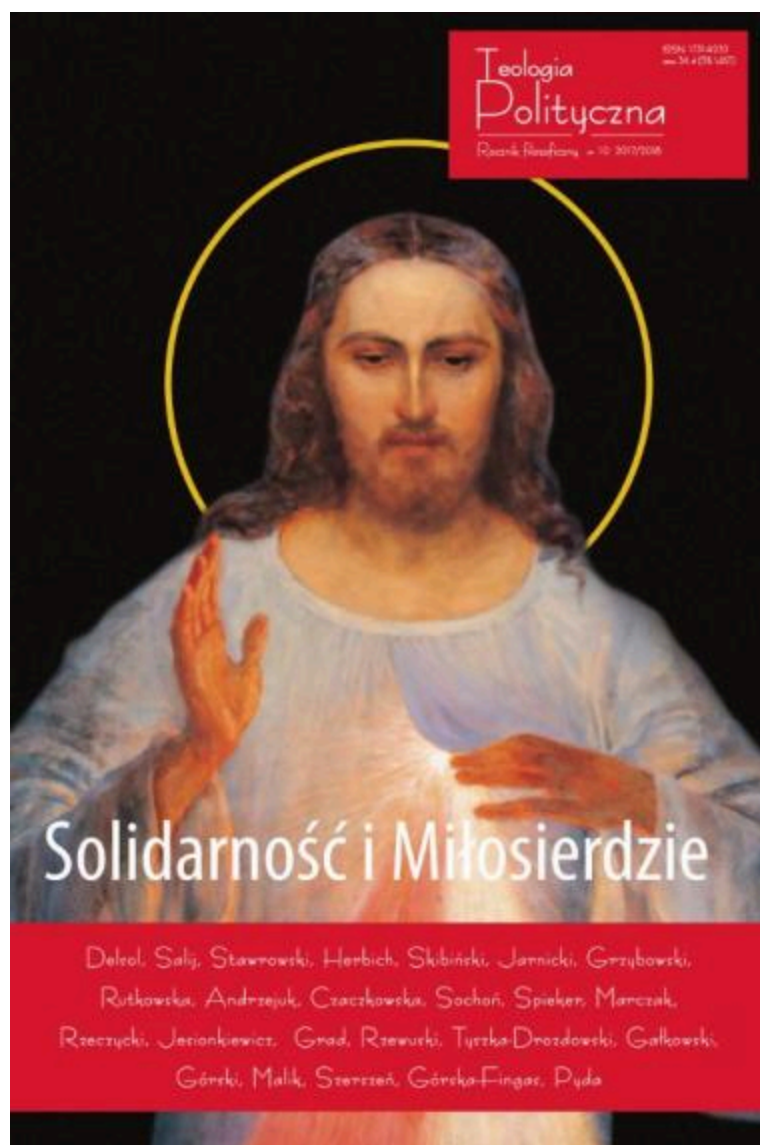
Te rozmaite uwikłania miłosierdzia sprawiają, że z oczu zanika to podstawowe znaczenie, które jest znaczeniem przede wszystkim teologicznym. Miłosierdzie jest pewnym sposobem, w jaki objawia się miłość Boża, w jakich konstytuuje się ona relacjach międzyludzkich. Z historycznego punktu widzenia stało się tak, że za sprawą skromnej zakonnicy z drugiego chóru, nieuczzonej dziewczyny z małej wioski, rodzaj dewocji opartej na kulcie miłosierdzia stał się jedną z największych form religijności przełomu XX i XXI w. Za sprawą tej skromnej dziewczyny, która przyjęła zakonne imię Faustyny, ten rodzaj kultu stał się dominującym rysem duchowości końca XX w. Co jest rzeczą absolutnie zdumiewającą, bo była to osoba skromna, nieuczona, brana za dziwaczkę, jeśli nie wariatkę; z całą pewnością nie błyskotliwa intelektualistka, rozstawiająca profesorów po kątach i pisująca listy do królów. Co więcej, we własnym kraju, za sprawą rozmaitych nieporozumień, we własnym Kościele przez długi czas uważana była za osobę mijającą się z ortodoksją. Mamy jeszcze taki zabawny fakt kulturowo-literacki, że siostra Faustyna to najczęściej tłumaczona polska pisarka na obce języki.

Pozostaje jednak pytanie: jeśli w Polsce wydarzyły się dwie tak nieprawdopodobne rzeczy, które oddziaływały na życie intelektualne i duchowe całego świata, jak właśnie odnowienie kultu i teologii miłosierdzia oraz solidarność, to może coś te rzeczywistości łączy? To jest fundamentalne pytanie dotyczące polskości: dlaczego te dwie idee rozkwitły akurat w Polsce? Dlaczego w XX wieku? Co łączy ruch z Gdańska z „Dzienniczkiem” siostry Faustyny, z kultem, który rozlał się na cały świat w stopniu, który kazał podjąć Papieżowi decyzję w 2016 roku dał tę tajemnicę do medytacji całemu Kościołowi Powszechnemu?

Opracowanie: Mikołaj Rajkowski/Bartosz Krzywiński/Karol Grabias

Wysłuchaj całej audycji na antenie Polskiego Radia 24

Jubileuszowe wydanie rocznika można kupić w księgarni Teologii Politycznej



Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.**

Dofinansowano
ze środków Ministra
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego